

NIEZAPOMNIANA

Halina Konopacka

„BYŁA NIE TYLKO SPORTSMENKĄ. BYŁA SYMBOLEM ODWAGI ISTNIENIA”, PRZEKONUJE AUTORKA KSIĄŻKI „ZŁOTA. LEGENDA HALINY KONOPACKIEJ”.

HALINA KONOPACKA

1900–1989

lekkoatletka, poetka, malarka i pierwsza Polka, która zdobyła złoty medal olimpijski. Triumfowała w rzucie dyskiem podczas igrzysk w Amsterdamie w 1928 roku, stając się symbolem nowoczesnej, odważnej kobiety II Rzeczypospolitej. W czasie II wojny światowej uczestniczyła wraz z mężem Ignacym Matuszewskim w brawurowej akcji ewakuacji polskiego złota. Do dziś pozostaje jedną z najbardziej niezwykłych postaci w historii polskiego sportu i symbolem kobiecej niezależności.



Zdobyła pierwszy złoty medal olimpijski dla Polski i pierwszy na świecie kobiecy złoty medal olimpijski w lekkoatletyce. Ale pisała też wiersze, malowała obrazy, pomagała osobom prześladowanym przez reżim komunistyczny. „Halina Konopacka nie zatrzymała się w jednym życiu. Przeżyła ich kilka”, mówi autorka jej biografii, Agnieszka Metelska.

ROZMAWIA: BEATA BIAŁY

ZŁOTY MEDAL *i inne utraty*

PANI: Kim była dla ciebie Halina Konopacka, zanim zaczęłaś pracować nad książką? Nazwiskiem, legendą, a może kimś z rodzinnej pamięci?

AGNIESZKA METELSKA: To moja daleka krewna, ale przez długi czas zupełnie się nią nie interesowałam. Kiedy w 1975 roku ostatni raz przyjechała do Polski, byłam zajęta własnym życiem – pierwszą miłością, dzieckiem, pisaniem. Nigdy jej nie spotkałam. Dopiero pod koniec lat osiemdziesiątych moja kuzynka Basia Kłosowicz-Krzywicka, zafascynowana historią rodziny Konopackich, przywiozła mi tomik wierszy Haliny i poprosiła, żebym przeczytała jeden z nich podczas rodzinnego spotkania. Przeczytałam „Zachód słońca”. I wtedy po raz pierwszy naprawdę mnie poruszyła.

„W dalekim, obcym mieście, niedzielnym wieczorem, kiedy jaskółki zleca wysoko nad domy, zmierzch dno ulic błękitnym powlecze kolorem i gwar ścicznie świąteczny w tłumie nieznanym...”

Ten wiersz mnie zatrzymał. Był o nieprzemiłaniu – o świecie, który trwa dalej, nawet kiedy ludzie odchodzą. I coś we mnie wtedy zostało. Zaczęłam pracować nad książką. Jedyną żyjącą osobą, która naprawdę pamiętała Halinę, była już wtedy jej siostrzenica, Krystyna Kotecka. Bez niej ta książka właściwie nie mogłaby powstać. Przez trzy lata zbierałam okrucy pamięci – w bibliotekach, archiwach, dokumentach i rozmowach z ludźmi. Ktoś pamiętał jedno spotkanie, jeden gest, jedno zdanie. I z tych okruców zaczęła wylaniać się fascynująca kobieta, która właściwie przez całe życie nieustannie się zmieniała, od dzieciństwa.

Dzieciństwo zostawia w człowieku pierwszy rytm życia. Jednych uczy lęku, innych wycofania, a jeszcze innych – odwagi do przekraczania granic. Kiedy patrzysz na dzieciństwo Haliny Konopackiej, widzisz już dziewczynkę, która umiała się buntować?

Jej dzieciństwo było inne niż większości dzieciństw tamtych czasów. To był zamożny, mieszczański dom na warszawskiej Pradze, przy Grochowskiej 321. Ojciec

prowadził interesy związane z produkcją powozów i dorożek, matka zajmowała się domem, była jeszcze gospoia. Klasyczny przedwojenny świat – wejście frontowe dla państwa i osobne wejście od podwórza dla służby. Ojciec kompletnie nie uznawał podziału na to, co „dla chłopców”, a co „dla dziewczynek”. Halina, jej brat i siostra byli wychowywani tak samo. Cała trójka jeździła konno, grała w tenisa, świetnie jeździła na łyżwach...

A jednak wychowywała się w świecie, który miał bardzo precyzyjną wizję kobiecości. Dziewczynki miały być grzeczne, drobne, spokojne. Ona była wysoka, silna, szybka. Myślisz, że czuła swoją inność?

Ale się tej inności nie wstydziła. Bardzo wcześnie miała świadomość własnej urody

WZIĘŁA DYSK DO RĘKI PIERWSZY RAZ W ŻYCIU I RZUCIŁA TAK, ŻE WSZYSCY ZAMARLI. SPORT PRZYCHODZIŁ JEJ BEZ WYSIŁKU.



i tego, że nie przypomina kobiet swoich czasów. Miała ogromny apetyt na życie. Marzyła o aktorstwie, fascynowało ją kino, biegała na nieme filmy. Bardzo ważny był też jej starszy brat – sportowiec i trener, jeden z pierwszych ludzi prowadzących gimnastykę przez radio. Był dla niej wzorem siły i ruchu, później pomagał jej nawet przygotowywać się do igrzysk. A potem wydarzyło się coś niemal symbolicznego. Ktoś podał jej dysk. Wzięła go do ręki pierwszy raz w życiu i rzuciła tak, że wszyscy zamarli. Jakby ciało już wcześniej wiedziało, co ma zrobić. Sama mówiła później ze zdziwieniem, że sport przychodził jej „sam”. Zdobyła około 26 mistrzostw Polski w różnych dyscyplinach. Świetnie grała w tenisa, jeździła konno, przepływała Wisłę wpraw, ale najbardziej kochała narty. Tatry były jej wielką miłością. Na Podhalu nazywano ją „Czerbietą” – od czerwonego swetra i czapki, które nosiła niemal zawsze. Sama zresztą robiła sobie te czapki na drutach.

Kiedy dziś patrzymy na sportsmenki, trudno nam sobie wyobrazić, że sto lat temu kobieta w krótkich spodenkach mogła budzić niemal moralną panikę. Mam wrażenie, że Halina nie walczyła tylko o medale. Ona walczyła o prawo kobiety do zajmowania przestrzeni – własnym ciałem, siłą, ambicją.

To było trudne nie tylko dla niej, ale dla wszystkich kobiet uprawiających sport. Krótkie spodenki, odsłonięte nogi, bieganie po stadionie budziły autentyczne oburzenie. Kościół patrzył na sportsmenki niemal jak na wysłanniczki szatana. Boy-Żeleński ironizował, że gdyby Panu Bogu przeszkadzała ludzka nagość, człowiek rozdziłby się ubrany. Ale pod tym śmiechem kryło się coś poważnego – kobiety naprawdę musiały wywalczyć sobie prawo do obecności. To był moment rodzącej się emancypacji. Po wojnie wszystko zaczęło się zmieniać. Kobiety skracaly włosy, zakładały spodnie, wchodziły do życia publicznego i pierwszy raz poczuły, że świat może należeć także do nich. Halina bardzo szybko stała się symbolem tej zmiany. Kiedy wygrała igrzyska olimpijskie w Amsterdamie w 1928 roku, zdobyła pierwszy złoty medal olimpijski dla Polski i pierwszy



na świecie kobiecy złoty medal olimpijski w lekkoatletyce. A przecież wcześniej kobiet właściwie nie dopuszczano do igrzysk. Tymczasem pojawiła się Halina Konopacka i rzuciła dyskiem tak, że świat musiał ją zauważyć. Po jej sukcesie sport przestał być czymś „niekobiecym”, a zaczął kojarzyć się z nowoczesnością i siłą. Zresztą ona sama była czymś więcej niż sportsmenką. Wydała tomik poetycki pt „Ktoregoś dnia”, obracała się w świecie kultury, a obok niej pojawiały się kobiety, które również zaczynały mówić własnym głosem – Pawlikowska-Jasnorzewska, Iłakowiczówna, Ostrowska.

A jednak każda pionierka płaci za swoją odwagę jakąś cenę. Zastanawiam się, czy miała momenty wątplenia. Chwile, kiedy chciała z tego wszystkiego uciec – od walki, od spojrzeń, od ciągłego przecierania szlaku.

Kiedy ktoś jest aż tak utalentowany, nie musi wszystkiego wydzierać światu siłą. Mówiono nawet, że za mało trenuje, ale ona była po prostu fenomenalna. Ktoś kiedyś zadał mi bardzo ciekawe pytanie: co bardziej wyznaczyło jej życie – wynik 39,62 m, który dał jej olimpijskie złoto czy Ignacy Matuszewski? I myślę, że jednak Ignacy. To przez niego zaczęła wycofywać się ze sportu. Jako żona ambasadora, później ministra skarbu, coraz częściej słysza-



1. Z mężem Ignacym Matuszewskim w drodze do komisji wyborczej, 1930
2. Przed mikrofonem Polskiego Radia, 1930

MÓWIONO JEJ, ŻE NIE WYPADA, BY PANI MINISTROWA BIEGAŁA PO STADIONIE W KRÓTKICH SPODENKACH.

ła, że „nie wypada”, by pani ministrowa biegała po stadionie w krótkich spodenkach. Niektórzy twierdzili, że chciała odejść w chwili triumfu, zanim całkowicie rozbłyśnie młodsza Jadwiga Wajsówna. Ale myślę, że Matuszewski zmienił jej życie dużo głębiej. Przecież mogła zostać w Polsce, przy matce, z którą była bardzo związana. A jednak w pierwszych dniach wojny wsiadła z nim do transportu wywożącego z kraju 80 ton polskiego złota. I nagle ta kobieta, która wcześniej rzucała dyskiem na stadionie, jedzie przez płonącą Europę w sam środek wojennego chaosu. Dotarłam do hrabianki Ostrowskiej, która jako dziecko uczestniczyła w tej podróży. Opowiadała o nocnych przejazdach, spaniu pod gałęziami, otwartych baniakach benzyny w samochodach. W każdej chwili mogli zginąć. Pamiętała też dworek, w którym zatrzymali się na chwilę – piękne kwiaty, serdecznych ludzi. Dwie godziny później dworek zbombardowało Luftwaffe. Halina jechała wtedy chyba już tylko siłą miłości i różańca z ametystów, który dostała od matki na drogę. Kresy, Rumunia, Morze Czarne, Turcja, Syria, Liban. W końcu Bejrut, gdzie pożegnała Ignacego płynącego dalej ze złotem do Francji. A potem zaczęła się emigracja. **Tak sobie myślę, że jest w tej historii coś niezwykle symbolicznego – ocalało 80**

ton polskiego złota, a zaginął jeden mały medal. A przecież olimpijski złoty medal, ten pierwszy, najważniejszy, Konopacka zabrała ze sobą. Tymczasem gdzieś po drodze zaginął. Jakby historia powiedziała: państwo trzeba ratować, ale prywatna chwała może się rozpuścić. Czy szukając informacji o niej, wpadłaś może na trop tego medalu?

Wiadomo, że miała go przy sobie. Pakowała go do walizki. Ale podczas tej całej „złotej drogi” po prostu przepadł. Zostały tylko fotografie. I czasem myślę, że to bardzo symboliczne. Bo ona sama też przecież gdzieś po drodze zniknęła światu. A potem trzeba ją było na nowo odnaleźć. I w pewnym sensie na nowo Konopacką odnalazła Fundacja LOTTO, której została patronką. Byłam na uroczystości wmurowania tablic na jej rodzinnym domu przy Grochowskiej 321. Chcieli złożyć hołd tej niezwykłej kobiecie, aktywnie uczestnicząc w utrwalaniu pamięci o niej i stawiając ją za wzór młodemu pokoleniu Polaków.

Wszyscy dziś szukamy tego złotego krążka. Fundacja LOTTO wyznaczyła nawet wysoką nagrodę za odnalezienie medalu. W akcję „Żywe Złoto” zaangażowali się Ola Mirosław, Marcin Gortat i Robert Lewandowski, którzy są ambasadorami Totalizatora Sportowego.

Byłoby niezwykle, gdyby ten medal kiedyś się odnalazł. Choć myślę, że pod koniec życia nie miał już dla Haliny większego znaczenia. Kiedy w 1975 roku odwiedziła Muzeum Sportu i Turystyki, ktoś zapytał ją: „Ale proszę pani, gdzie jest ten złoty medal?”. Odpowiedziała spokojnie: „Moje dziecko, a jakie to ma znaczenie?”. I właściwie w tym zdaniu kończy się moja książka. Bo ona była już wtedy kobietą, która wiedziała, że najważniejsze rzeczy są nie-

widzialne. Medal można zgubić, dom może spłonąć, państwo może zniknąć z mapy. Ich mieszkanie na Mokotowie spłonęło podczas wojny razem z medalami, fotografiami i całym materialnym archiwum życia. A przecież przed wojną Konopacka była prawdziwą celebrytką. Mówiono nawet, że w polskich domach obok portretu Piłsudskiego wisiał jej wycięty z gazety portret. Kiedy zdobyła złoto w Amsterdamie, Polska po raz pierwszy poczuła się naprawdę zauważona. Twierdzono, że więcej pisano na świecie o jej sukcesie niż o zwycięstwie Polski nad Rosją pod Radzyminem w wojnie 1920 roku. Ona dawała ludziom dumę i stała się symbolem nowoczesnej Polski.

Zastanawiam się nad tym niezwykle związkim. Ona – piękna, podziwiana, na stadionach. On – polityk, intelektualista, człowiek władzy, choć mało pociągający z urody. Co ich właściwie połączyło?

Podobno sięgał jej do ramienia. Nie był klasycznie przystojny. Ale był fascynujący. Niezwykle inteligentny, błyskotliwy, charyzmatyczny. Świetnie pisał, znał kilka języków, obracał się od dziecka w świecie literatury i polityki. W jego domu bywali Żeromski, Prus, ludzie kultury. I myślę, że on ją po prostu zachwyił intelektualnie. Halina kochała poezję, przyjaźniła się ze Skamandrytami. On tłumaczył na włoski Lechonia. Spotkali się gdzieś bardzo głęboko – w języku, kulturze, sposobie myślenia o świecie. Krystyna Kotecka mówiła mi, że Matuszewski świata poza Haliną nie widział. Ale ona jego też ogromnie podziwiała.

Czasem kobiety „znikają” przy wielkich mężczyznach. Zastanawiam się, czy Halina też trochę nie zapłaciła za tę miłość własnym światłem.

Nigdy nie przestała błyszczeć. Kiedy mieszkali na placówce dyplomatycznej w Budapeszcie, ludzie przychodzili tam nie tylko dla Matuszewskiego, ale także po to, by zobaczyć Halinę Konopacką. Nadal była legendą. Później przyszła jednak emigracja, która ich oboje bardzo naznaczyła. Matuszewski próbował przekonać Amerykanów, że Stalin nie jest wybawcą Europy, lecz człowiekiem budującym nowe impe-

rium. Mówił rzeczy, których Zachód nie chciał słuchać, i zapłacił za to wysoką cenę – izolacją, podejrzeniami, politycznym wykluczeniem. A Halina przez cały ten czas była przy nim. Także wtedy, gdy dowiedział się o śmierci swojej córki Ewy w Powstaniu Warszawskim. I myślę, że właśnie wtedy wydarzyło się coś ważnego. Przestała być wyłącznie sportsmenką czy ikoną stylu. Weszła głęboko w świat emigracji, polityki i odpowiedzialności. To Ignacy ją tego nauczył.

Mam wrażenie, że wojna zabrała jej nie tylko kraj, ale też język, w którym była sobą. Stadion, Warszawę, ludzi, rytm życia. Dlaczego nigdy nie wróciła do Polski na stałe?

Najpierw nie mogła, miała „wilczy bilet”. A pod koniec życia ciężko chorowała na serce. Miała napadowe częstoskurcze –



MIAŁA ŚWIADOMOŚĆ WŁASNEJ URODY I TEGO, ŻE NIE PRZYPOMINA KOBIET SWOICH CZASÓW.

serce potrafiło bić trzysta razy na minutę. To były stany realnego zagrożenia życia. Kiedyś dostała takiego ataku w Polsce i podobno czekała bardzo długo na karetkę. W Stanach pomoc przychodziła natychmiast. I myślę, że w pewnym momencie dokonała bardzo bolesnego wyboru – między samotnością a poczuciem bezpieczeństwa. Wybrała bezpieczeństwo. I została tam.

A gdybyś miała jednym zdaniem powiedzieć, co naprawdę straciła w czasie wojny? Nie materialnie, tylko egzystencjalnie.

Dom. Ojczyznę. Ciągłość życia. Ich mieszkanie na Filtrowej było przepiękne. Duże, jasne, pełne sztuki. Tam było wszystko – obrazy, pamiątki, medale, rękopisy, fotografie. Pozowała przeciw Włkacemu, miała rzeźbioną głowę wykonaną przez znaną artystkę. I ta głowa została zakopana w węglu, żeby ją ocalić. Kiedy po latach wróciła do Polski, okazało się, że przetrwała i trafiła do muzeum. Taki mały cud polskiej konspiracji. Ale cała reszta świata przepadła. Straciła matkę, ojca, siostrę, brata, codzienność, język ulicy, zapach miasta. Straciła swoje miejsce. A człowiek bez miejsca bardzo długo uczy się siebie od nowa.

Jak człowiek podnosi się po czymś takim? Mam wrażenie, że to był pierwszy prawdziwy upadek jej życia.

Wojna była pierwszym prawdziwym pęknięciem. Ale Halina miała w sobie coś niezwykłego – zadaniowość. Kiedy wybuchła wojna, ona nie usiadła rozpaczać. Wsiadła do transportu ze złotem. Miała misję. Coś do wykonania. Mogła za chwilę zginąć, mogło ich zbombardować Luftwaffe, ale ona jechała dalej. I potem dokładnie tak samo zaczęła nowe życie w Ameryce. Od zera. Tylko że to już nie była ta sama Halina, która rzucała dyskiem w Amsterdamie. Nigdy więcej nie napisała wiersza. Ale może właśnie dlatego jest tak fascynująca. Bo ona nie zatrzymała się w jednym życiu. Przeżyła ich kilka.

Zastanawiam się, jak wygląda codzienność człowieka, który nagle traci język, kraj, pozycję, znaczenie? Czy ona umiała o tym mówić?

Myślę, że długo nie miała czasu na własny ból. Szła śladem Ignacego. On żył polityką,



więc ona też weszła w ten świat. Była przy nim podczas wszystkich walk emigracyjnych, później sama występowała w Radiu Wolna Europa, angażowała się politycznie, pomagała ludziom prześladowanym przez komunistów. Śmierć Ignacego była dla niej ciosem, myślę że największym. W Instytucie Piłsudskiego odnalazł się po latach jej list do Henryka Floyar-Rachmana – źle skatalogowany, przeleżał tam niemal 70 lat. To było jedno z największych odkryć podczas pracy nad książką. Datowany na 20 lipca 1948 roku. Halina Pisze: „Chciałabym wyrwać temu podłemu światu trochę pieniędzy, żeby pomóc żyć jego myśli. (...) Będę tu w kościele na mszy żałobnej za niego..”.
Czy po utracie Ignacego ona jeszcze umiała być szczęśliwa?

Kilka lat później wyszła ponownie za mąż – za Jerzego Szczerbińskiego, znanego tenisistę jeszcze z przedwojennej Polski. I wtedy zaczęła budować siebie od nowa. Otworzyła ogromny salon mody. Szyto tam eleganckie suknie, żadnej masówki. Zatrudniała Polki. Założyła też szkołkę narciarską. Zaczęła zarabiać pieniądze. Sama mówiła później w jednym z wywiadów, że „Ameryka brutalnie nauczyła ją żyć”. Tym bardziej, że los znów okazał się dla niej okrutny. Szczerbiński zachorował na białaczkę. Walczyła o niego rozpaczliwie, wydawała ostatnie pieniądze na leczenie, ale przegrała. I wtedy, mając około 60 lat, przeniosła się na Florydę. Kupiła dom nad oceanem – taki amerykański, biały, z wielką werandą. Jeździła na rowerze, pływała, chodziła po plaży. Poznała mężczyznę, zamieszkali razem, choć już bez ślubu. Pewnego dnia wypłynęli żaglówką w ocean i on na tej żaglówce zmarł na serce. Znów została sama. Na zawsze.

HALINA NIE NALEŻAŁA DO LUDZI, KTÓRZY ŁATWO SIĘ ŁAMIA. RACZEJ ZACISKAŁA ZĘBY I WYMYŚLAŁA SIEBIE OD NOWA.

Życie bardzo konsekwentnie odbierało Halinie ludzi, których kochała. Najpierw Ignacy, później Jerzy, potem kolejny mężczyzna. Czy była w stanie podnieść się po jeszcze jednej stracie?

Nie należała do ludzi, którzy łatwo się łamą. Oczywiście, wszystko się w niej odkładało – śmierci, samotności, kolejne pożegnania – ale ona szła dalej. Nie siadała i nie rozpaczała nad sobą. Raczej zaciskała zęby i wymyślała siebie od nowa. I nagle, mając około 60 lat, poszła do szkoły plastycznej jak dziewczyna, która dopiero zaczyna życie. Zaczęła malować pod pseudonimem Helen George. Ku własnemu zdziwieniu sprzedawała później swoje obrazy. Pięknie mówiła o malowaniu – że kiedy przenosi się obraz na płótno, on naprawdę zaczyna istnieć. Mam jej autoportret, który po wydaniu książki dostałam od Krystyny Koteckiej. Patrzę na niego czasem i mam wrażenie, że namalowała siebie już po wszystkich – po stadionach, emigracji, wielkich miłościach i wszystkich utratkach. Jest w tym portrecie spokój człowieka, który niczego nie musi już światu udowadniać. Pod koniec życia coraz bardziej odsuwała się od ludzi. Wolała spacerować nad wodą, podobno godzinami chodziła też do ogromnego akwarium,

gdzie zaprzyjaźniła się z jakimś morskim stworzeniem. Mam wrażenie, że w końcu oswoiła samotność i nauczyła się być sama ze sobą. Jej ostatnie lata były jednak także smutne. Zniknęły rzeczy, których strzegła przez całe życie, między innymi ametystowy różaniec, który dostała od matki we wrześniu 1939 roku, kiedy wyjeżdżała z Polski. Przetrwał wojnę, emigrację, śmierć Ignacego, wszystkie jej życia – a potem po prostu zaginął.

Patrzę na jej życie i mam wrażenie, że Konopacka kilka razy rodziła się od nowa. Jakby po każdym pęknięciu budowała kolejną wersję siebie. I zastanawiam się, czy można tyle razy zaczynać od początku, a jednak nie zgubić siebie po drodze.

Czasami człowiek zmienia kraj, język, partnera, całe życie, a gdzieś po drodze rozpada mu się własny środek. A ona nie. Mam poczucie, że do końca wiedziała, kim jest.

Po tych wszystkich latach spędzonych z jej listami, zdjęciami i śladami stała ci się bliższa?

Myślę, że mogłabym się z nią zaprzyjaźnić. Usiadłabym z nią przy kawie i rozmawiała godzinami.

A gdybyś mogła dziś naprawdę usiąść z nią przy stole, o co zapytałabyś najpierw?

Chyba przede wszystkim o odwagę. Czy naprawdę się nie bała, kiedy angażowała się politycznie, pomagała ludziom ściganym przez komunistów, walczyła o byłego premiera międzywojennej Polski, Światłowskiego. Czy naprawdę nigdy nie miała momentu, w którym pomyślała: „mam dość”. Bo myślę, że pod tą całą siłą musiał być też ogromny lęk. Tylko ona chyba nigdy nie pozwoliła mu wygrać. ■



Dziennikarka, poetka, adwokatka i pisarka. Prowadzi własną kancelarię adwokacką. Autorka m.in. tomików poetyckich Pamięć i Ślad oraz nagrodzonej przez Polski Komitet Olimpijski biografii Haliny Konopackiej Złota, za którą otrzymała „Srebrny Wawrzyn”.